

Jeśli się nie staniecie jak dzieci

- Sceniczna adaptacja powieści „Mapa i terytorium” Houellebecqa w Teatrze Wybrzeże
- Reżyser Ewelina Marciniak nie powtórzyła sukcesu swoich poprzednich gdańskich przedstawień

Gdańsk

Jarosław Zalesiński
j.zalesinski@prasa.gda.pl

Wykonanie słynnego utworu Johna Cage'a „4.33” polega na tym, że przez oznaczony w tytule czas czterech minut i trzydziestu trzech sekund muzyk (albo solista z orkiestrą) nie wydobywa (nie wydobywają) z instrumentów ani jednego dźwięku. Nie dzieje się nic, słychać tylko ciszę i pokasywania publiczności w przerwach pomiędzy częściami.

Podobnym chwytym posłużyła się Ewelina Marciniak w swojej adaptacji powieści „Mapa i terytorium” francuskiego pisarza Michela Houellebecqa (premiera na Dużej Scenie Teatru Wybrzeże w miniony piątek). Kiedy po pierwszej przerwie publiczność czeka już w fotelach na ciąg dalszy, na scenie, przez nieśmiało się dłużyć się minuty, nie dzieje się nic. Publiczność najpierw próbuje tę ciszę wyklaskać, ale gdy to nie pomaga, poddaje się pomysłowi i już tylko patrzy, co się dzieje. Ktoś spóźniony wraca z toalety do sali, w końcu rozlega się dzwonek, potem nic, potem drugi dzwonek, wchodzi jeden z aktorów, znowu nic, aż wreszcie trzeci dzwonek, zamknięto drzwi do sali i spektakl ruszył z miejsca.

O kompozycji Cage'a napisano tomy, dodając do tego dzieła setki odczytań. Jak odczytywać gest Marciniak? Może reżyser chciała zwrócić naszą uwagę na to, co dzieje się, kiedy nic się jeszcze nie dzieje, po to żebyśmy uchwycili teatr in statu nascendi, w pierwszym momencie, kiedy dopiero zaczyna się on rodzić (czy może poczynąć...). Jeśli o coś takiego chodziło, to przyznać trzeba, że pomysł dobrze wprowadza w sedno spraw, jakie opisał Houellebecq w „Mapie i terytorium”. Dwuwyrzowy tytuł to jakby dwa skrzydła rzeczywistości. Terytorium oznacza to, co „jest”, a mapa jest jakimś tego odbiciem, przetworzeniem, obrazem. Np. dziełem sztuki.



► Dziecięcy aktorzy to alter ego głównych postaci, ale także rysują, bawią się, reżyserują wydarzenia, a w końcu - grają także samych siebie. Są proste i spontaniczne, inaczej niż „dorosli” bohaterowie

W parominutowym nicsięniedzianiu „terytorium” byłaby więc widownia z fotelami i widzami, a dalej scena, aktorzy, scenografia - i tak dalej, cała przestrzeń teatru. Reżyser wszystko to razem przetwarza na oczach widzów w przedstawienie. Publiczność jest częścią reżyserowanego przez Marciniak „przetworzenia”, bo na przykład aktorzy siadają pomiędzy widzami w fotelach, albo na odwrót - ktoś z widzów zostaje wciągnięty do gry. Publiczność zresztą wędruje po teatrze, raz jest usadowiona na scenie, a raz na widowni.

O tym, że spektakl ukazuje nam, jak powstaje sztuka, mówi jeszcze inny detal. Główny bohater, malarz Jed Martin, przebija się na rynku sztuki swoim pomysłem wystawiania w galeriach wiernie sfotografowanych map turystycznych. Gdy jednak na wielkim ekranie oglądamy owe „terytoria”,

przedstawione na mapach, sfotografowanych przez Jeda, widzimy nie jakieś francuskie pejzaże, tylko - rzędy foteli w Teatrze Wybrzeże. Wracamy zatem do tego samego punktu: teatralnej sali, w której siedzimy.

W finale rysuje się coś w rodzaju Arkadii, ale pewnie to tylko złudna wizja sytego życia

Ten autotematyzm, czyli to, że przedstawienie mówi o sobie samym, widać już zresztą w prologu, w którym grający Houellebecqa Michał Jaros, goły jak go Pan Bóg stworzył, komentuje, w jaki sposób została wydana po polsku powieść „Mapy i terytorium”, i komentuje sam ten prolog, który ma

być próbą uchwycenia od pierwszej chwili uwagi widzów oraz złożenia im obietnicy, że dalej będzie co najmniej tak samo ciekawie. Kto narobił sobie w tym momencie apetytu na ciąg dalszy, ten się srodze rozczaruje, bo nagości akurat jest w tym przedstawieniu, jak na współczesny polski teatr, tyle co kot napłakał. Coś mi się zdaje, że tym dowcipnym prologiem Ewelina Marciniak bawi się swoim wizerunkiem artystki pomografki, która to etykieta przykleiła się do niej po głosnej wrocławskiej realizacji „Śmierci i dziewczyny”. Autotematyzm gdańskiej „Mapy i terytorium” dotyczyłby więc też tego, że reżyserem jest ta a nie inna osoba, która także samą siebie wprowadza w obręb dokonywanego przez siebie „przetworzenia”.

Wszystko to razem jest bardzo błyskotliwe, inteligentne, zaciągające. Jest w tym jed-

nak jeden problem, podobny zresztą do problemu, jaki związany jest z „4.33” Cage'a. Na poziomie samego konceptu dzieła jest znakomite. Na poziomie konkretnego wykonania - już niekoniecznie. Kogoś może znużyć. Tak jak kolejny gdański spektakl Eweliny Marciniak.

Problem tkwi chyba w nadmiarze, wynikającym z tego, że do powieści, już samej w sobie arcybogatej w sensy, Marciniak oraz dramaturg Jan Czapliński dodali własne przemyślenia. Zwielokrotnili np. bohaterów, których poza aktorami grają, jako alter ego, dzieci. Wyreżyserowanie dziecka, w teatrze czy w filmie, to osobna i niełatwa sztuka. Sukces Eweliny Marciniak na tym polu jest co najwyżej połowiczny. Trudno też przeniknąć wszystkie jej intencje. W wypowiedziach przed premierą Marciniak mówiła, że bohaterowie Houellebecqa, ze swoją wrażli-

wością i nieporadnością, przypominają jej dzieci. Ale odgrywanie alter ego Jeda, jego kochanki Olgi czy jego ojca Jean-Pierre'a to tylko jedno z zadań dziecięcych aktorów. Dzieci także rysują, bawią się, reżyserują zdarzenia, opowiadają, kim są. No właśnie - są, jakie są: proste, spontaniczne i zadowolone z siebie. Postać Jeda Marciniak rozszczępiła na dwóch aktorów (Piotr Biedroń i Marek Tynda), ale i w innych postaciach możemy odkryć takie czy inne zawirowanie. To ludzie pokrzywieni i dramatycznie nieszczęśliwi. Dzieci są radykalnie od nich inne (co nie znaczy, że to niewiniątka). Dopiero w końcówce Piotr Biedroń w nieporadnym płaczliwym zachowaniu przybliża się jakby do swojego dziecięcego alter ego. „Jeśli się nie staniecie jak dzieci, nie osiągniecie szczęścia” - coś takiego chce nam powiedzieć reżyser? Być może.

W finale rzeczywiście rysuje się coś w rodzaju Arkadii czy rajskiego ogrodu, ale pewnie to tylko złudna wizja bezproblemowego, sytego życia współczesnych Europejczyków. Trudno rzec, bo w owym finale, na ostatniej prostej, Czapliński i Marciniak raptownym zrywem próbują powiedzieć to wszystko, czego nie zdążyli wywiedzieć do tej pory, wpłatając w to jeszcze kryminalny wątek śmierci Houellebecqa (bo pisarz samego siebie w książce uśmiercił, i to z wyrafinowanym okrucieństwem). Ale próba nagłego zwrotu akcji w stronę pastiszu kryminału kończy się reżyserską katastrofą.

Są w tym spektaklu świetne wokalizy występującej gościnnie Justyny Święc, jest jeden piękny monolog Katarzyny Dałek w roli Olgi, jest samotny i zimny w swoim patrzeniu na ludzi Houellebecq Michał Jaros, dotykany jest problem wartości jakichkolwiek ludzkich „przetworzeń”, ale bez oddania głęboko pesymistycznego finału książki - bo na to zabrakło już czasu. Ale po wybitnym „Portrecie damy” Ewelina Marciniak nie stworzyła w Gdańsku porównywalnego przedstawienia. ●